

*Piotr Petrykowski**

ORCID: 0000-0002-3297-6898

Toruń, Polska

O dziedzictwie, gwarantach, posłańcach. Refleksje niepoprawne teologicznie

About Heritage, Guarantors, Envoys.
Theologically Incorrect Reflections

Abstract: The article is a collection of reflections on the essence of conveying social heritage and the importance of its understanding for pedagogical reflection. The inspiration for these considerations comes from references to fragments of the texts of the Bible appropriate in the author's search. It is not a hermeneutical study, much less grounded in theological studies. It is a collection of semi-personal, methodologically entitled attempts at an individual reading in the contexts of upbringing and contemporary social life.

Keywords: social heritage; education; Bible; experience; teacher; student.

Abstrakt: Artykuł stanowi zbiór refleksji nad istotą przekazu dziedzictwa społecznego i znaczeniem jego rozumienia dla namysłu pedagogicznego. Inspirację do tych rozważań stanowią właściwe w poszukiwaniach autora odwołania się do fragmentów tekstów Biblii. Nie jest to opracowanie hermeneutyczne ani tym bardziej ugruntowane studiami teologicznymi. To zbiór na poły osobistych, uprawnionych metodologicznie, prób indywidualnego odczytania w kontekstach wychowania i współczesnego życia społecznego.

Słowa kluczowe: dziedzictwo społeczne; wychowanie; Biblia; doświadczenie; nauczyciel; uczeń.

* Dr hab. Piotr Petrykowski, prof. UMK, Instytut Nauk Pedagogicznych, Wydział Filozofii i Nauk Społecznych, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu; e-mail: ppet@umk.pl.

W jednym ze swoich artykułów (Petrykowski, 2020) poddałem refleksji kwestię dojrzałości i wieku Abrama, gdy wyszedł z Chaldei do Kanaanu, i do niej chcę wrócić, dzieląc się kolejnym przemyśleniem. Wiek Abrama... Gdyby zastosować inne układy odniesienia i przyjąć, że Abram nie był w chwili wezwania i wyjścia starym człowiekiem. Oczywiście pominę fakt, że tak naprawdę dowiadujemy się po raz pierwszy o wieku Abrama dopiero po jego wyjściu z Charan, lecz nie wiemy, ile miał lat, gdy usłyszał wezwanie. Zapewne przecież potrzebował czasu na przygotowanie się do tej wędrówki. Nie miał do swojej dyspozycji wyspecjalizowanych firm, które zapakują cały nasz dobytek i w krótkim czasie, nie niszcząc niczego, dostarczą w dowolny punkt na ziemi. Możemy więc powiedzieć, że w tamtym układzie odniesienia Abram był po prostu dojrzałym człowiekiem.

Pojęcie dojrzałości – czyli gotowości do podjęcia wyzwania. Ile lat miał Mojżesz, gdy został wezwany przed „obliczem” gorejącego krzewu? Ile lat miał Jezus z Nazaretu, gdy zaczął nauczać, gdy dokonało się Przemienienie? Niewątpliwie byli dojrzałi i bogaci w doświadczenie, na tyle dojrzałi, by zmierzyć się z wyzwaniem, misją, posłannictwem...

Wiemy, że Abram, gdy usłyszał w Chaldei wołanie, miał siedemdziesiąt pięć lat. Wielu bohaterów opisanych w Torze czy w Starym Testamencie to ludzie... długo, bardzo długo żyjący. Wiek tych biblijnych bohaterów to faktycznie frapująca zagadka i dla wielu jeszcze jeden powód, by traktować te księgi jako niewiarygodne, bajki niemal.

Adam żył 930 lat, Noe jeszcze dłużej – 950 lat; nie będę wymieniał tutaj wszystkich postaci. Chociaż w judaizmie nie jest to bez znaczenia, można było bowiem dzięki temu ustalić „początek stworzenia świata” i na tym wyliczeniu opiera się dzisiejszy kalendarz żydowski. Sam Abram żył już znacznie krócej – zaledwie 175 lat, Mojżesz jeszcze krócej. Jak zauważył Flawiusz, ten proces skracania się wieku życia człowieka trwał stopniowo od Adama aż do czasów Mojżesza (Flawiusz, 2001). Wiek Abrama nie jest bez znaczenia dla moich rozważań, o czym także poniżej.

Za niezwykle intrygujące i ważne uznaję spostrzeżenie, że Bóg nie mówi Abramowi: idź do konkretnego kraju, lecz do krainy, którą ci ukażę. Nie zawraca z wędrówki do Kanaanu, nie mówi, że to ten lub nie ten kraj, nie ten kierunek. Dopiero gdy Abram dotarł do Kanaanu, Bóg powiedział: „cały ten kraj, który widzisz, oddaję tobie i twojemu potomstwu na zawsze” (Rdz 14, 15). Spójrzmy na te słowa jeszcze z jednego punktu widzenia. Oto

Bóg mówi wcześniej do Abrama: idź do kraju, który ci ukazę. A kiedy już Abram tam – do tego kraju – dociera, nie słyszy słów: oto jest kraj obiecany Tobie. Słyszy: Twojemu potomstwu oddaję. Czytam to jako szczególne przesłanie. Z całym swoim „dobytkiem”, swoim doświadczeniem ruszam dalej w drogę, w tę już rozpoczętą podróż do Kanaanu. Kiedy zaś docieram do pewnego miejsca, Bóg (moja świadomość, moje poznanie?) oznajmia mi: oto jest miejsce, ku któremu wędrowałeś, tutaj osiądź. Zawędrowałeś jednak nie dla siebie, nie dla miejsca, którego będziesz włodarzem, w którym będziesz pomnażał swój dobytek, lecz dla miejsca, które przekazesz swojemu potomstwu, swoim następcom.

A przecież Abram nie miał wtedy jeszcze swoich synów – ani Izmaela, ani Izaaka, ani żadnego z przyszłych swoich dzieci. „Ukazana” została mu kraina, otrzymał kraj, który będzie własnością następców, dziedziców. Oto ziemia, oto twoje doświadczenie, które przekazesz w schedzie, spadku, swoim następcom. Jeszcze nieznanym, ale... Nie w tym kryje się także i ta cecha drogi człowieka? Nie dla siebie, lecz dla innych?

Czym dla Abrama była, mogła być owa „ziemia, którą ukazę”? Współczesnym językiem mógłbym powiedzieć, że Sacrum, Miejscem świętym. Czyż nie dlatego też, gdy usłyszał, że oto ta ziemia właśnie jest mu oddana, zbudował na niej ołtarz? Ołtarz, który stawiamy w miejscu świętym lub poświęconym. Wiem, można przecież wspomnieć o przykładzie Karola Wojtyły, który jako ołtarza używał kajaka i nad górskim strumieniem składał ofiarę. Czyż jednak chrześcijaństwo, jako religia uniwersalna, w sposób szczególny nie podkreśliło, że Bóg jest wszędzie, że Jest? Lecz przecież nie tylko chrześcijaństwo. Ziemia jest ziemią Boga wszędzie tam, gdzie Bóg jest. W tym rozumieniu jest zawsze święta. Rabbi Mendel z Kocka na pytanie „gdzie mieszka Bóg” odpowiedział: „Bóg mieszka tam, gdzie człowiek go wpuści” (Buber, 2004, s. 48). Może właśnie ta różnica w podejściu sprawiła, że św. Franciszek miał tak wielu przeciwników, gdy widział Boga i świętość we wszystkim, co na świecie. Może dlatego w judaizmie czy islamie synagoga lub meczet nie są traktowane tak samo, jak kościoły w chrześcijaństwie. Choć wszędzie, jak w każdej przestrzeni trwałej, w świątyniach obowiązują określone wzory zachowań, to jednak w szczególny sposób chrześcijaństwo uczyniło ze świątyń miejsca jedyne, w których „mieszka” Bóg. Inaczej niż w judaizmie i islamie, według których synagoga czy meczet są miejscami Słowa. Bo czyż na pytanie: gdzie mieszka Bóg, nie jest dobra odpowiedź: czyż cały świat nie jest pełen jego chwały (tamże)?

W tradycji żydowskiej świątynia jerozolimska była miejscem szczególnym. Jediną przestrzeń trwałą, w której składano ofiarę od czasu, gdy została wybudowana. W jakimś sensie można powiedzieć, że jedynym świętym miejscem, swoistą ziemią obiecaną. Czyż nie po części dlatego (pomijając inne okoliczności i uwarunkowania) nie jest odbudowywana, czekając na spełnienie proroctw? W tym momencie, w którym stanie się ponownie ziemią obiecaną? Jerozolima przecież jako taka i z tego powodu jest miejscem obowiązkowych pielgrzymek Żydów. Także dla muzułmanów, niezależnie od szczególnej roli Mekki. Czy Jerozolima jest miejscem świętym dla chrześcijan? Tutaj mógłbym postawić wiele znaków zapytania. Pomijając czasy wypraw krzyżowych, współczesne (przed pandemią) eskapady turystyczne, mimo częstego statusu „pielgrzymek”, rodzą poważne wątpliwości co do ich religijnego charakteru, sądząc zwłaszcza po wielokrotnie doświadczanym zachowaniu się w Jerozolimie wielu chrześcijan-pielgrzymów (?). Przesiadując w moim ulubionym zaułku na Muristanie (koło bazyliki Grobu Pańskiego), wspominając swoje pobyty w tejże świątyni czy innych miejscach, tak przecież ważnych... nie mogę się pozbyć tych wątpliwości.

W dużym stopniu również bierze się to stąd, że chyba nazbyt łatwo przyszło nam zapomnieć, a może wyprzeć z pamięci, że tak naprawdę to Tam się wszystko zaczęło, nie w Rzymie, że Miriam, Jezus, apostołowie byli po prostu Żydami i wyrosli w tradycji judaistycznej tamtych czasów, w cieniu jerozolimskiej świątyni. W cieniu? Przecież obecność Jezusa z Nazaretu w tejże świątyni miała szczególne znaczenie dla Jego nauczania. Bez judaizmu, bez Abrahama i Mojżesza, bez Izaaka, Jakuba, Józefa, Dawida, Salomona, Heroda nie byłoby chrześcijaństwa, Jezus nie byłby uznany przez tak wielu za Mesjasza. Czyż jednak owo oderwanie od korzeni, od tradycji nie jest pierwszym krokiem, tak dobrze znanym ogrodnikom, do wykorzenienia? Czy współcześnie, w imię poprawności politycznej, kulturowej, zafascynowani relatywizmem kulturowym i moralnym, blichтром „szklanych domów”, nie nazbyt łatwo zniekształciliśmy znaczenia wielu pojęć, stanowiących składowe podstawowych filarów współczesnej cywilizacji łacińskiej, stwarzając tym samym idealne wprost warunki do wykorzenienia z dziedzictwa, tradycji, kultury?

Jeżeli więc owa świątynia jest swoistą ziemią obiecaną, to może z tej perspektywy trochę inaczej można spojrzeć na ową ubogą wdowę, która oddała „całe swoje utrzymanie” na rzecz świątyni – ziemi obiecaniej. Była kobietą dojrzałą i doświadczoną – to doświadczenie było jej bogactwem i całym dobyt-

kiem, całym utrzymaniem. Jak każdy dojrzały człowiek, którego największym dobytkiem i dostatkiem jest doświadczenie, w tym doświadczenie Miłości. Cóż bowiem cenniejszego ma dojrzały człowiek, jak nie swoje doświadczenie, dziedzictwo, które chce przekazać innym, następcom, dziedzicom, chce, by ono – owo dziedzictwo – trwało. Ta wdowa nie składa ofiary – ona oddaje wszystko dla świątyni – ziemi obiecanej, dla przyszłych pokoleń (Petrykowski, 2017).

Może więc dlatego właśnie Abram w tym wieku – w wieku 75 lat – opuścił Charan i usłuchał wezwania, gdyż był bogaty całym swoim dojrzałym doświadczeniem. Dojrzałość zaś nie jest mierzona tylko latami, a wiek Abrahama to jedynie umowne określenie. Miara bogactwa? Dla ówczesnych i późniejszych autorów i czytelników wszak 75 lat to było dużo. Miara bogactwa, wyznaczona przez liczbę stad owiec i bydła, niewolników, sprzętu... Czy też raczej miara bogactwa zwanego doświadczeniem? Może to właśnie znajdujemy na tych kartach? Nie, że dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych. To przecież akurat kwestia wiary. A jeżeli, jak chce głosić wielu, nie ma Boga? To coż chcieli powiedzieć nam w tych fragmentach autorzy Pisma? Może także właśnie to, jak wielkim bogactwem jest doświadczenie, które niezależnie od wieku czyni nas dojrzałymi i gotowymi do zabrania swego całego „dobytku” i zaniesienia go do Kanaanu.

Oto Abram jest bogaty – po jego wędrówkach spowodowanych klęskami głodu, a potem, po zwycięskich wojnach i wielu różnych przypadkach, w tym po szczególnym i niepowtarzalnym doświadczeniu spotkania Melchizedeka – wraca Abram do Kanaanu. I staje wobec niezwykłego i ważnego problemu. Ma doświadczenie, ma rodzinę, ma bogactwo – odziedziczone i nabyte – materialne i niematerialne (objawienie Boga, błogosławieństwo i nauki Melchizedeka). Wie, bo Bóg mu to obiecuje, że będzie cieszył się Jego względami i że doczeka bliżej nieokreślonej nagrody (Rdz 15, 1). Oto ma to wszystko, całe bogactwo, które niewątpliwie stanowi dziedzictwo jego przodków i ogrom własnego dorobku. Lecz nie ma dziedzica, spadkobiercy, nie ma potomka.

Na obietnicę nagrody odpowiada więc dramatycznie wyrażonym żalem: „na coż mi ona, skoro zbliżam się do kresu mego życia, nie mając potomka” (Rdz 15, 2). Wstrząsające i jakże ważne pytanie. W naturalny sposób zapewne można byłoby ukierunkować nasze rozważania na próbę zrozumienia „głodu”, swoistego instynktu, bezdzietnych małżonków czy partnerów. Nie wnikać, czy jest to instynkt wpisany w każdy gatunek, czy też jest to raczej potrzeba – potrzeba duchowa, potrzeba spełnienia. Tym łatwiej jest zrozumieć niezwykłą

przecież wolę i dążenie, często olbrzymi wysiłek okupiony wieloma bolesnymi wyrzeczeniami w podejmowaniu działań, by mieć dziecko, własnego potomka. Nie chcę uczestniczyć w dyskusji na temat na przykład metody *in vitro*. Chcę napisać – rozumiem. Rozumiem tę rozpacz, którą wyraził już Abram – na cóż mi ta nagroda, skoro nie mam potomka.

Stoi on więc u progu decyzji o swoistej adopcji. Swoistej, bo w tekście czytamy, że rozważa przekazanie majątności Elizerowi, Damascenńczykowi. Tymi słowami określa, że jest on (Elizer) obcy, że wszystko, co może mu dać, to majątność. Można wprawdzie się zastanawiać, czy w określeniu „zrodzony u mnie sługa mój” nie jest zawarta informacja, iż jest to dziecko Abrama spłodzone na przykład z niewolnicą. Wiemy na pewno, że urodził się z matki, może niewolnicy, już w czasie, gdy była ona w służbie Abrama. Zapewne historycy, bibliści i specjaliści znaleźli wytłumaczenie, na mocy jakiego to prawa obyczajowego lub innego Elizer, sługa, mógł nabyć uprawnienia do przejęcia majątności. Nie to jest ważne.

Ważne jest to, że całego swojego dziedzictwa Abram nie mógł przekazać temu, którego chciałby uczynić dziedzicem, lecz temu, który mocą obyczaju mógł je przejąć. Nie mógłby więc całego spadku przekazać wraz z tym, co swoje stanowiło także wartość duchową, co byłoby nacechowane i wypełnione ulotnym doświadczeniem, także emocjonalnym. Z miłością lub tylko tym szczególnym napięciem psychomięśniowym, jak pisze Stanisław Ossowski. W słowach potomka chcę widzieć i widzę jednak to, co najsilniejsze – miłość. Abram miał to przekazać Obcemu? Jest w tych rozterkach Abrama także żal, że całe jego dziedzictwo i cały jego spadek staną się jedynie materialnym dobrem bez całej tej refleksyjnej strony. „Tylko to, co wywołuje refleksję, ma wartość kulturową” – jak zauważył Ossowski (1948, s. 70). Obawa więc Abrama o utratę kultury?

Widzimy więc, że opisana przez Floriana Znanieckiego funkcja, jaką przypisuje się wychowaniu, czyli zapewnienie ciągłości kulturowego trwania (Znaniecki, 1973, s. 29), w swoisty sposób wyrażona została przez Abrama. Czytamy przecież też, że Lot miał dzieci i inni potomkowie przodków Abrama również mieli dzieci. Nie groziło więc wyginięcie biologiczne, prokreacja zapewniała biologiczną ciągłość i trwanie grup, które opuściły wraz z Abramem Charan i osiedliły się we wskazanym Kanaanie.

Jednak przecież grupa ludzka, grupa społeczna, by trwać, „potrzebuje” jeszcze jednego istotnego wymiaru – owego królestwa człowieka – kultury. To

wychowanie jest tym procesem i zjawiskiem, którego najważniejszą funkcją jest zapewnienie ciągłości kultury, kulturowego trwania – przez przekaz tradycji, obyczajów, religii, języka. Damasceńczyk nie „gwarantował”, ze względu na swoją odrębność, takiego zachowania, takiej ciągłości. To mogło odbyć się jedynie przez relację rodzic – dziecko... I to nie przez sporadyczny kontakt, lecz przez ciągłą, bliską, emocjonalnie ugruntowaną więź.

Jeżeli przyjmę, że Elizer był dzieckiem Abrama – tak przecież mogło być w tamtych czasach, w tamtejszej obyczajowości – to będę mógł dostrzec znacznie więcej. Oto w jakimś sensie możemy powiedzieć, że – o ile Elizer był potomkiem Abrama – przez dziedzictwo krwi być może zostanie zachowane dziedzictwo społeczne, także kulturowe. To przecież efekt jakże wszechobecnego, również współcześnie (czy nie tym jest odradzający się nacjonalizm?), irracjonalnego związku między dziedzictwem biologicznym a społecznym. Czy zatem Abram nie wyraża znanego i przez wielu badaczy udowodnianego spostrzeżenia, że dziedzictwo kulturowe nie jest przekazywane biologicznie, nie jest zwykłym łącznikiem między pokoleniami przyszłymi, teraźniejszymi a pokoleniami przodków?

Być może Czytelnik zaprotestuje, mówiąc: ale przecież Abram, narzekając na brak potomka, wskazywał właśnie na brak dziedzictwa krwi. I co więcej – Bóg powiedział mu: „nie on będzie twoim spadkobiercą, ten po tobie dziedziczyć będzie, który od ciebie będzie pochodził” (Rdz 15, 4). Nie Elizer będzie spadkobiercą. Nie wystarczy więc proste dziedzictwo biologiczne. Słowa „od ciebie będzie pochodził” odczytuję bowiem nie tylko jako będzie z nasienia Abrama, lecz także – będzie wzrastał w kręgu tradycji, obyczajów, które przekazywać mu będzie jego ojciec. To właśnie miała na myśli Ruth Benedict, pisząc: „musimy przyjąć wszystkie następstwa naszego ludzkiego dziedzictwa, z których najważniejszy jest wąski zakres zachowań przekazywanych biologicznie i ogromna rola kulturowego procesu przekazywania tradycji [...]. Tym, co rzeczywiście wiąże ludzi ze sobą, jest ich typ kultury” (Benedict, 1999, s. 82–83). Jak można znaleźć w Talmudzie – nie ten będzie rodzicem, kto zrodził, lecz ten, kto wychował. Nie wystarczy więc tylko biologiczne dziedzictwo, lecz przede wszystkim wychowanie – w tym przekaz tradycji i wprowadzanie w kulturę.

Swoiście, w sposób sobie właściwy, odczytuję więc słowa „od ciebie będzie pochodził” – z nasienia, ale i z kultury. Elizer był Damasceńczykiem. Był obcym. Z innej tradycji, innej kultury. Oto Abram prosił i to zostało mu obie-

cane. Ten szczególny rodzaj przestrzegania odrębności przekazu dziedzictwa biologicznego i dziedzictwa kulturowego znajdują też w wydarzeniach, gdy Hagar stała się brzemienna. Obowiązujące wówczas prawo zezwalało, by za przyzwoleniem żony mąż zapłodnił niewolnicę Sary. Przyzwalając tym samym na uznanie tego dziecka, co więcej, cały ten czyn za godny – „wzięła zatem niewolnicę Hagar, Egipcjankę, i dała ją za żonę mężowi swemu, Abramowi” (Rdz 16, 3). Hagar była więc kimś więcej niż dzisiejsza surogatka.

Zauważam też coś jeszcze. Gdyby Abram stawiał na wyższość lub równoważność dziedzictwa biologicznego z dziedzictwem kulturowym, słysząc wcześniej obietnice Boga, płodząc dziecko z niewolnicą zgodnie z obyczajami i prawem – czy zgodziłby się tak łatwo na wypędzenie brzemiennej Hagar, gdy stała się krnąbrna wobec Sary? „Niewolnica twoja jest w twojej mocy” (Rdz 16, 6). Dopiero na polecenie Anioła Hagar wraca do Sary, by oddać się „pod jej władzę”. I czytamy: „Hagar zrodziła Abramowi syna. I Abram nazwał zrodzonego mu przez Hagar syna imieniem Izmael” (Rdz 16, 15). Nazwał go imieniem, które przecież nie Hagar czy Sara mu nadały. Wziął go więc „we władanie”, zatem i na swoje wychowanie.

To uznanie Izmaela nie tylko za dziedzica krwi znajdują także w jeszcze jednym miejscu. Wtedy, gdy Bóg mówi: „imię jej będzie Sara. Błogosławiąc jej, dam ci i z niej syna” (Rdz 17, 15–16). Nie mówi: „dam ci z niej”, lecz dodaje „i” z niej. Zatem Izmael jest prawowitym synem Abrahama nie tylko biologicznie. Czyż nie widać tego także w opisie wypełniania Przymierza? „Wtedy Abraham, wzięwszy syna swego, Izmaela” (Rdz 17, 23). Izmael miał w chwili obrzezania 13 lat. Jego dalsze losy są zapewne dobrze znane. Na żądanie Sary, z poparciem Boga, Abraham oddalił Hagar i kilkunastoletniego Izmaela, którzy zamieszkali na pustyni Paran. Jak zapowiedział Bóg – miał on się stać protoplastą wielkiego narodu (Rdz 21, 18). To właśnie Izmael uznawany jest za ojca wszystkich Arabów. Zauważmy coś więcej – matka Izmaela, Hagar, Egipcjanka, zadbała o coś istotnego: „matka zaś jego sprowadziła mu żonę z ziemi egipskiej”. Czyżby czystość krwi?

Można powiedzieć, że znowu chodzi o dziedzictwo krwi. Lecz nie tylko przecież, nawet jeżeli zarówno Żydzi, jak i Arabowie po dziś dzień uważają, że Żydem jest ten, który zrodzony jest z matki Żydówki (zostawmy rozważania na temat konwersji, która nawet w prawie do powrotu ma różne uwarunkowania). Sara była Żydówką. I dlatego, by miało dopełnić się proroctwo, tak ważne było, by Miriam (Maria), matka Jezusa, była Żydówką. Bo Mesjasz

musiał i musi być Żydem. Gdyby jego matka nie była Żydówką, on nie byłby Żydem. Nie spełniłoby się więc proroctwo, nie mógłby być uznany, nawet nie mógłby pretendować do miana mesjasza, zgodnie z zapowiedzią proroków, Izajasza nade wszystko. Prawda, jakie to dotkliwe dla wielu współczesnych chrześcijan, którzy próbują postawić w opozycji do siebie i Żydów, i chrześcijan. Dla Czytelników niniejszego tekstu to sprawy tak oczywiste. Ale wcale nie jest to takie oczywiste. Ironia, ironia losu, gdy niektórzy chrześcijanie z całą mocą próbują dowiedzieć, że wszelkie zło tego świata jest dziełem Żydów. Kiedy więc słyszę na falach eteru chrześcijańskiej przecież rozgłośni te słowa... To jak to jest z Jezusem? No właśnie... A wtedy jakże łatwo o pytanie – wobec dzisiejszego wizerunku Kościoła – o siłę wiary... gdy oprócz wielu innych bolesnych doświadczeń i zdarzeń, nie tylko historycznych, gdy tak chętnie się wykorzeniamy.

Wypieranie się więc, czy nawet tuszowanie tego szczególnego rodzaju dziedzictwa Jezusa jest tym samym wypieraniem się własnego dziedzictwa kulturowego. Nie waham się powiedzieć – jest świadomym wykorzenianiem się. Według mnie trywialne – czy rzeczywiście? – chrześcijaństwo nie istnieje bez judaizmu. Tak jak nie byłoby Jezusa z Nazaretu bez Abrahama, Izmaela, Izaaka, Jakuba i wszystkich innych wielkich i proroków Izraela. To jednak „oczywista oczywistość”, a zarazem nieco odrębna sprawa.

Chcę wrócić do jeszcze jednej kwestii, a mianowicie do ważnej obietnicy, którą Bóg składa Abrahamowi, gdy ten odprawia Hagar wraz z Izmaelem, a przecież nie czyni tego z chęcią. „Z syna zaś tej niewolnicy uczynię też wielki naród, bo jest on twoim potomkiem” (Rdz 21, 13). Potomkiem wychowanym zatem także w określonej tradycji, kulturze i wierze. Czy pamiętamy rodowód Jezusa z Nazaretu, tak precyzyjnie spisany przez Apostoła Mateusza, wyprowadzającego pochodzenie Jezusa z rodu Abrahama – ojca dwóch potomków, dwóch ojców wielkich narodów: Izmaela – ojca Arabów i Izaaka – ojca Żydów?

Z jednej strony, to oczywista konstatacja. Uznając Jezusa za potomka Izaaka, muszę więc go uznać za potomka Abrahama. A potomkiem Abrahama jest przecież także Izmael. Warto więc chwilę się zastanowić, gdy dokonujemy oceny czynów Żydów, ale i oceny zachowań Arabów. Możemy oczywiście wyprzeć się tego dziedzictwa, które przecież w przypadku chrześcijan stanowi ewidentny dowód, że tym, co rzeczywiście wiąże ludzi ze sobą, jest kultura. Że dla ludzkiego dziedzictwa, jego zachowania, ogromne znaczenie ma kulturowy

proces przekazywania tradycji. Wychowanie. Chrześcijaństwo może odgrywać szczególną rolę w pokazywaniu, jak ważny jest przekaz dziedzictwa społecznego, które nie jest w ścisłym związku z dziedzictwem krwi. Możemy wyprzeć się tego wspólnego dziedzictwa, jeżeli chcemy trwać w błędnym kultywowaniu niebezpiecznej symboliki dziedzictwa krwi.

Wypieranie się jednak dziedzictwa kulturowego, wspólnego dziedzictwa społecznego, dziedzictwa Abrahama, jest procesem nie tylko tragicznym – prowadzącym do konfliktów różnej miary i z tragicznymi następstwami. Dowiódł tego chociażby Hitler czy Stalin, dowiódł również amerykański prezydent G. W. Bush. Oczywiście pojawia się też pytanie o niektórych przywódców wielu państw, nie tylko przecież arabskich, ale także tych państw, których współczesny obraz oparty jest na podstawowych filarach cywilizacji łaćńskiej. Oto wypieranie się własnego dziedzictwa kulturowego jest dramatyczną i złą decyzją, prowadzącą do utraty własnej tożsamości, do utraty własnej kultury, własnego dziedzictwa, jest skazaniem siebie na autozagładę. Jakże to wydaje się oczywiste, prawda? Czy faktycznie takie oczywiste?

Pisząc o dramatycznym pytaniu Abrahama i żalu: „na cóż mi ta nagroda, skoro nie mam potomka”, zadaję sobie jeszcze jedno ważne pytanie. Pytanie o sens. Sens naszego działania, sens zdobywania wiedzy, sens mojej (naszej?) twórczości. Jak napisał Nietzsche – ten, kto ma po co żyć, potrafi znieść niemal każde „jak”. Nie, nie zamierzam roztrząsać zagadnienia sensu życia, sensu ludzkiego działania. Najprościej byłoby zamknąć to słowami Jezusa lub Martina Bubera – celem jest droga do Boga. Jeżeli jest... Bóg.

Martin Buber podpowiada, że trzeba zadać sobie pytanie – po co? Po co scalać swoje życie? I odpowiada – nie dla siebie samego (Buber, 2004, s. 37), „na sobie samym nie skończyć, nie traktować siebie jako cel. Próbować siebie zrozumieć, lecz nie zajmować się jedynie sobą” (tamże). Tak, to przesłanie wydaje się tak oczywiste, tak jasne. Być jak Rabbi Bunan, który, zdaniem rabiego z Ger, miał „klucze do wszystkich niebios. A czemuż by nie? Człowiekowi, który nie myśli o sobie, dane są wszystkie klucze” (tamże, s. 41).

Czyż nie to właśnie powiedział Abram, mówiąc: na co mi ta nagroda, gdy nie mam potomka? Nie chciał nagrody tylko dla siebie. Ale też – czy chodziło mu o zachowanie swojego bogactwa i przekazanie dziedzictwa krwi? Czy też dziedzictwa społecznego? Możemy je przecież przekazywać swoim biologicznym potomkom, ale także innym, którzy tak blisko nas, chociaż zapewne kryterium pokoleniowe jest tutaj istotne.

Oto właśnie o tego, któremu chcielibyśmy przekazać tę naszą wiedzę, działania z ich efektami, naszą twórczość, w istocie chodzi. W jednym ze swoich artykułów opisałem dzieje Jonasza, zadając pytanie – po co nam wiedza. Tak, „udowodniłem” wtedy, że dla spełnienia społecznej misji, dla ratowania Niniwy, dla innych. Nie dla ratowania siebie został Jonasz posłany. Lecz dla ratowania innych. Obcych także (Petrykowski, 2009, s. 195–200).

Jest jednak i to pragnienie, by przekazać ten nasz dorobek również innym, by mogli oni czerpać z niego tak, jak uznają to za właściwe. Tak jak ujrzą własną drogę. Drogę każdego człowieka. Na cóż mi ta nagroda w postaci stopnia, tytułu, apanaży, książek lepiej lub gorzej napisanych, blichtr telewizyjnych jupiterów, poklask tłumów? Po to, by ją przekazać. I to nie tylko studentom, doktorantom, uczniom. W tym kryje się zapewne fakt, że potomek, jak każde dziecko, nie wybierze sobie wszak rodzica biologicznego. Ale wybrać może przewodnika, nauczyciela, Mistrza?

W pytaniu Abrama znajduję coś jeszcze. Moim „potomkiem” będzie ktoś, kogo obdarzę uczuciem, miłością, opieką. To refleksje, które tak chętnie wpisujemy na banery nowoczesnych ponoć koncepcji w wychowaniu. A może wcale nie tak nowoczesnych, zważywszy na to, kiedy powstał Stary, a kiedy Nowy Testament. Już bowiem wcześniej zauważyłem, że nie chodzi tylko o prosty przekaz dziedzictwa i dorobku własnym dzieciom, tym naszym dziedzicom krwi. To wydaje się w pewnej mierze naturalne i oczywiste, lecz także, a może przede wszystkim, chodzi o tych, którzy są lub mogą być naszymi dziedzicami „z wyboru”. Dziedzicami naszych myśli, twórczości, dorobku. I nie tylko o tych, którzy będą uwikłani w te same mechanizmy. Lecz może przede wszystkim o tych, którzy dziedzictwo to włączą do swojej codzienności, do swojego życia?

Czy nie to pytanie zadajemy sobie lub powinniśmy sobie zadawać nieustannie? Czy nie w tym kryje się również istota nie tylko edukacji, ale także roli i znaczenia nauczycieli? Czy właśnie nie o tym pisali klasycy pedagogiki? Lecz przecież – jak łatwo o nich zapomnieliśmy. Dzisiaj jednym z kryteriów „naukowości” wielu opracowań na temat wychowania, stosowanych przy procedurach awansowych czy w recenzjach publikacji, jest korzystanie wyłącznie z prac ogłoszonych po 2001 roku.

W jednym z midrasz (Krajewski, 2004) jest napisane, że gdy Bóg miał przekazać Izraelowi Torę, zażądał ponoć gwarancji, że będzie ona przestrzegana. Lud najpierw powołał się na Abrahama, Izaaka, Jakuba, ale Bóg nie przystał

na to. Jakżeż bowiem przodkowie mieli gwarantować przestrzeganie i dochowanie wierności Słowu? Bóg zgodził się dopiero wówczas, gdy wskazano, że „nasze dzieci będą naszymi gwarantami”. To przyszłe pokolenia są gwarantami dochowania i zachowania wierności tradycji i dziedzictwa. Rodzi się pytanie, czy jesteśmy godni miana testatorów tego dziedzictwa, które sami przejęliśmy, otrzymaliśmy. Czy pamiętamy? Pamięcią, która nie jest celem samym w sobie, ale czymś więcej nawet niż środkiem do kształtowania postawy wobec teraźniejszości i przyszłości. „Pamięć jest świadkiem duszy wobec zmienności umysłu” (Heschel, 2001, s. 136). Czy i co zachowujemy z dziedzictwa, jeżeli w ogóle? Czy i co zostało nam z tego dziedzictwa, by przekazać je naszym następcom?

To pytanie o „potomka”, nie, nie tego (a przynajmniej nie tylko tego) biologicznego, nabrało dodatkowego dla mnie wymiaru podczas moich wędrówek po Synaju i do Jerozolimy. Wtedy zapadł mi w pamięć pewien obraz – pusty skrawek ziemi z drzewkami oliwnymi. W tle pustynne wzgórze, a horyzont zamykał widok odległego miasta. Ten obraz zafascynował mnie, stał się wyobrażeniem ziemi, ziemi, którą ci ukażę. Tak, to było w Izraelu. Na pustyni Negev. Czuję, że jestem blisko, blisko doświadczenia poznania (Imienia). To takie wrażenie podobne do tego, gdy jeszcze jako student astronomii szukałem rozwiązania równania odnoszącego się do „niewidzialnych” bardzo złożonych przestrzeni „k-wymiarowych”. Czuję to rozwiązanie, było we mnie. To samo wrażenie pojawiło się wtedy, na pustyni Negev. Wiem, wiem dokładnie, co sprawiło, że tłący się tylko niepokój wywołał u mnie wówczas dwa pozornie sprzeczne odczucia – Tęsknoty i Pragnienia. Tę zapowiedź nazwałem w myślach Nocą Andamanu, o czym piszę w kolejnym, przygotowywanym opracowaniu.

W Księdze Rodzaju (Rdz 37, 15–17) jest opis sceny, w której Józef udał się na prośbę ojca do swoich braci, wypasających stado w Sychem. Nie zastał ich tam jednak. Ni stąd, ni zowąd spotkał mężczyznę, który dowiedziawszy się, kogo szuka Józef, powiedział mu: „wyruszyli stąd, bo słyszałem, jak mówili: pójdziemy do Dotan”. O tym człowieku Ramban naucza: „ów człowiek był posłańcem, a ta dziwna scena nie znalazła się przypadkowo” (Kushner, 1994, s. 69). Przecież gdyby nie ten człowiek, Józef wróciłby do domu, nigdy nie zostałby niewolnikiem, nigdy nie sprowadziłby rodziny do Egiptu i tak dalej. Chasydzi wierzą, że zwykli ludzie mogą stać się posłańcami, czasem sami o tym nie wiedząc. Chciałbym umieć wyrazić to własnymi słowami jak najlepiej, ale

pomny swoich ułomności, przywołam słowa Lawrence Kushnera: „przecież gdyby ich nie było, jeśliby nie przekazali tego, co mieli do przekazania, lub nie zrobili tego, co uczynili, nasza droga nie wyglądałaby tak samo. Nie byłibyśmy tu, gdzie jesteśmy teraz” (tamże, s. 70).

„Ludzie wybrani na posłańców [...] rzadko kiedy zdają sobie sprawę, że są posłańcami. Zostają nimi nieoczekiwanie i mimo woli. Zagubieni wśród swoich planów i dróg. Zajęci pracą i realizowaniem własnych projektów, gdy nagle Bóg posyła ich gdzie indziej” (tamże, s. 64). Zauważmy i zważmy te słowa: „nie zapominaj nigdy, że również ty sam dla siebie możesz być posłańcem. Być może takim nawet, którego posłanie służy innym” (tamże, s. 70). Wtedy, w tę noc, nazywaną przeze mnie Nocą Andamanu, a było to po wielu doświadczeniach, które ujmę kolorytem buddyjskich krajobrazów i spotkań, tradycji i świątyń Majów, w zetknięciu z synkretyzmem Meksyku, po spotkaniach z różnymi odmianami tradycji muzułmańskich, z tradycjami hinduistycznymi, śladami konfucjanizmu, wreszcie – po wędrówkach po Synaju, pustyni Negev i zaułkach Jerozolimy, pod murem Ściany Zachodniej jerozolimskiej świątyni zadałem sobie raz jeszcze i to pytanie: po co mi ta nagroda, „gdy nie mam potomka”? Mam wszystko oddać Elizerowi?

Trzeba było mi jeszcze dalekiej wędrówki nad andamańskie morze? Dopiero wtedy, tam, uświadomiłem sobie, że jest Posłaniec, który po mnie może odziedziczyć. Posłaniec, który może nawet o tym nie wie, że nim jest... Moim „ucniem”? Wszak nie znam go nawet, chociaż znamy się. Poznałem lub poznam go, a przecież nigdy może nie udało mi się i nie uda poznać. Brzmi to jak sofizmat lub raczej paradoks megaryjski? A może coś więcej... Odczucie, którego może wielu z nas dotkliwie doznało w doświadczeniu edukacji czasów pandemii, gdy tak zredukowany został proces kształcenia. Niedookreślone poczucie Tęsknoty i Pragnienia Spotkania, które pozwoliłoby nam uświadomić sobie, że nie tylko my jesteśmy posłani, lecz że nasi uczniowie, studenci też są posłańcami. I poddać refleksji pytanie o naszą wiarygodność jako testatorów. Depozytariuszy dziedzictwa, które tak łatwo odrzucamy, korzystając z prawa do odrzucenia spadku. Cóż więc przekażemy kolejnym pokoleniom, skoro skrypt dłużny traci swoje znaczenie? To oni mają także być gwarantami... czego? Co pozostało w nas z dziedzictwa, którego sami byliśmy dziedzicami i kiedyś gwarantami? Dziedzictwa, które odrzucamy, a które stanowi nasze korzenie, nasz fundament. Nasze królestwo człowieka. Czyż uczniowie nasi nie zostali też posłani do nas?

Bibliografia

- Benedict, R. (1999). *Wzory kultury*. Warszawa: Muza.
- Buber, M. (2004). *Droga człowieka według nauczania chasydów*. Warszawa: Cyklady.
- Flawiusz, J. (2001). *Dawne dzieje Izraela*. Warszawa: Rytm.
- Heschel, A. J. (2001). *Człowiek nie jest sam*. Kraków: Znak.
- Krajewski, S. (2004). *54 komentarze do Tory dla nawet najmniej religijnych spośród nas*. Kraków: Austeria.
- Kushner, L. (1994). *Miód ze skały. Wizje odnowy mistyki żydowskiej*. Poznań: Rebis.
- Ossowski, S. (1948). *Więź społeczna i dziedzictwo krwi*. Warszawa: Spółdzielnia Wydawnicza Książka.
- Petrykowski, P. (2009). Czy ratować Niniwę – czyli po co nam wiedza. W: Cz. Kuśtra (red.), *Wdzięczność i zobowiązanie. Myśl Jana Pawła II źródłem inspiracji współczesnego środowiska akademickiego* (s. 195–200). Toruń: Wydawnictwo Naukowe UMK.
- Petrykowski, P. (2017). O wdowim groszu, prawdzie, miłości. *Wychowanie Na Co Dzień*, 1–2(262–263), 23–27.
- Petrykowski, P. (2020). W poszukiwaniu odpowiedzi...: najpierw muszę postawić pytania. W: A. Kożyczkowska i M. Szczepska-Pustkowska (red.), *Mniejszości etniczne i ich pogranicza, szkice tożsamościowe* (s. 27–41). Gdańsk: Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego.
- Znaniecki, F. (1973). *Socjologia wychowania*. Warszawa: PWN.